

ODYSEJA

BARBARA KINGSOLVER

POWIEŚĆ LAUREATKI

NAGRODY
PULITZERA



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE LACUNA

Copyright © Barbara Kingsolver 2009
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Małgorzata Małecka 2013

Redakcja: Beata Słama

Projekt graficzny okładki i serii oraz ilustracje na okładce: Agnieszka Drabek

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Wyspa Pixol, Meksyk, 1929

NA POCZĄTKU BYŁY WYJCE. Zaczynały wrzeszczeć w pierwszej godzinie świtu, kiedy tylko niebo się rozjaśniało. Najpierw jeden, jego wymuszone rytmiczne pojękiwanie przypominało dźwięk pracującej piły. Hałas budził inne, które dołączały do jego potwornej pieśni. Wkrótce wycie wydobywające się z rudych gardeł dochodziło z kolejnych drzew, wędrując ku plaży, aż cała dżungla wypełniała się rykiem. Jak było na początku świata, tak i każdego ranka.

Chłopiec i jego matka wierzyli, że wycie dochodzące spomiędzy drzew to głosy demonów o oczach wielkich jak spodki, które walczą o swoje terytorium i żywią się ludźmi. Przez pierwszy rok po przeprowadzce do domu Enrique w Meksyku każdego dnia o świcie budzili się przerażeni, słysząc ten skowyt. Czasami matka biegła korytarzem do sypialni syna, stawała w drzwiach z potarganymi włosami i stopami zimnymi jak ryby. Ciasno owijała ich oboje szydełkową narzutą przypominającą sieć i nasłuchiwali.

Miało być jak w bajce. Tak mu obiecywała w małej, zimnej sypialni w Wirginii, w Ameryce Północnej. Jeśli uciekną do Meksyku razem z Enrique, ona zostanie żoną bogacza, a jej syn stanie się młodym dziedzicem w hacjendzie nieopodal plantacji ananasów. Wyspa będzie otoczona lśniąącym morzem niczym ślubną obrączką, której klejnot stanowią położone w głębi lądu pola naftowe – źródło bogactwa Enrique.

Ich bajka powinna raczej nosić tytuł *Więzień Zandy*. On nie

został młodym dziedzicem, a jego matka po tylu miesiącach wciąż nie była żoną. Enrique ich uwięził. Jedząc śniadanie, zimno patrzył na ich przerażenie.

– To wyją *aullaros* – mówił, wyciągając palcami w srebrnych pierścieniach białą serwetkę ze srebrnej obrączki, układając ją na kolanach. – Nawołują się, by zaznaczyć swoje terytorium, zanim rozpoczną polowanie na zdobycz.

– My też możemy stać się ich zdobyczą – szepotali matka i syn, tuląc się do siebie w kokonie z narzuty, słuchając, jak ryki zębatach stworzeń robią się coraz głośniejsze. – Lepiej spisuj to wszystko w swoim notatniku – powiedziała. – Historię tego, co przytrafiło nam się w Meksyku. Po to, żeby kiedy zostaną z nas tylko kości, ktoś wiedział, co się z nami stało. – Kazała mu zacząć tak: *Na początku były aullaros żądne naszej krwi.*

Enrique mieszkał w tej hacjendzie od urodzenia, odkąd zbudował ją jego ojciec, zmuszając potem *indios*, żeby zasadzili ananasy. Wychowano go tak, by rozumiał, jak przydatny bywa lęk. Minał więc prawie rok, nim powiedział im prawdę: to małpy tak wyją. Kiedy to mówił, nie podniósł nawet wzroku, tylko przypatrywał się jajkom na talerzu. Próbował ukryć pod wąsem pogardliwy uśmiech, ale nie była to zbyt dobra kryjówka.

– Każdy głupi Indianin to wie. Też byście wiedzieli, gdybyście wyszli rano na dwór, zamiast ukrywać się w łóżku jak para leniwców.

Tak też było: stworzenia te okazały się małpami o długich ogonach, które żywiły się liśćmi. Jak taki dźwięk mógł wydobywać się z tak pospolitych i niewinnych gardel? A jednak. Chłopiec wymykał się na dwór wcześniej rano i nauczył się, gdzie ich szukać: wysoko, w gęstwinie gałęzi, na tle białego nieba. Skulone wełniste ciała balansowały na chwiejnych nogach, ogony wyciągały się, by pogłaskać gałąź, niczym struny gitary. Czasem małpie matki tuliły swoje młode, które przychodząc na świat na tej niebezpiecznej wysokości, trzymały się ich kurczowo w obawie o swoje życie.

Nie było zatem żadnych drzewnych demonów. A Enrique nie był złym królem, tylko człowiekiem. Wyglądał jak miniaturowy pan młody z tortu weselnego: miał taką samą okrągłą głowę z

równym przedziałkiem i wąsik. Jednak matka chłopca nie była miniaturową panną młodą, a na torcie nie było miejsca dla dziecka.

Kiedy Enrique miał ochotę z niego szydzić, nie musiał nawet wspominać demonów, tylko patrzył na drzewa.

– Prawdziwym demonem jest tu chłopiec o zbyt bujnej wyobraźni – mawiał zwykle. To stwierdzenie było dla chłopca jak zagadka matematyczna, od której zaczynała go boleć głowa. Nie mógł dojść, która część równania jest niewłaściwa: bycie chłopcem czy posiadanie bujnej wyobraźni. Enrique uważał, że człowiekowi sukcesu wyobraźnia nie jest potrzebna.

A OTO INNY SPOSÓB rozpoczęcia tej historii, również prawdziwy.

Prawo obowiązujące wśród ryb jest takie samo jak prawo obowiązujące wśród ludzi: kiedy zbliża się rekin, wszystkie uciekają, zostawiając cię na pożarcie. Dziela jedno płochliwe serce, dzięki któremu poruszają się jednocześnie, uciekając przed niebezpieczeństwem na chwilę przed tym, nim się pojawi. Po prostu je wycozuwają.

Pod powierzchnią oceanu istnieje świat bez ludzi. Sklepienie wody przelewa się nad tobą, kiedy dryfujesz wśród purpurowych drzew koralowego lasu, otacza cię niebiańskie światło tworzącego złożonego z połyskliwych ryb. Promienie słońca przebijają powierzchnię wody niczym ogniste strzały, zatrzymując się na pokrytych łuską ciałach i rozświetlając każdą płetwę. Ławica składa się z tysiąca ryb, ale wszystkie poruszają się razem: wielka, jasna i niestała jedność.

Tamten świat jest doskonały, choć nie dla kogoś, kto nie umie oddychać wodą. Trzyma się za nos, zwisając ze srebrzystego sufitu jak wielka brzydka marionetka. Jego ręce porośnięte są cieniutkimi włoskami, jak trawą. Jest blady, oświetlony światłem rozproszonym w wodzie, które odbija się od jego pokrytego gęsią skórą ciała. Nie wygląda jak zwinny tryton, którym chciałby być. Ryby uwijają się dookoła chłopca, a on czuje się samotny. Wie, że to głupie, bo przecież nie jest rybą, ale tak właśnie się czuje. Mimo to nigdzie się nie rusza, usidlonny przez podwodny świat, żałując, że nie może tu zamieszkać otoczony przez pełne światła płynne

życie, które przelewa się wokół niego. Połyskująca ławica chowa się z jednej strony i wypływa z drugiej, masa drobin porusza się to ku środkowi, to na zewnątrz, jak jedno wielkie, oddychające stworzenie. Kiedy zbliża się jakiś cień, ryby natychmiast rzucają się w środek ławicy, tworząc ściśle bezpieczne jądro i pozostawiając chłopca na zewnątrz.

Skąd wiedzą, że mają ratować siebie, a jego zostawić na pożarcie? Mają swojego własnego boga, władcę marionetek, który kieruje ich wspólnym umysłem, dzierżąc nitkę połączoną z każdym z serc w tym zatłoczonym świecie. Z każdym z wyjątkiem jednego.

Chłopiec odkrył świat ryb, gdy Leandro podarował mu okulary do nurkowania. Leandro jest kucharzem, zrobiło mu się żal tego drobniutkiego chłopca z Ameryki, który przez cały dzień nie miał do roboty nic innego prócz błąkania się po klifach na plaży i udawania, że czegoś szuka. Okulary miały szklane soczewki i były zrobione z gumy, większość elementów pochodziła z okularów lotniczych. Leandro powiedział, że używał ich jego brat, kiedy jeszcze żył. Pokazał mu, jak napluć do środka przed ich założeniem, żeby nie zaparowały.

– *¡Andele!* No już, wskazuj do wody – powiedział. – Czeka cię niespodzianka.

Bładoskóry chłopiec stał, trzęsąc się, po pas w wodzie, myśląc, że były to najokropniejsze słowa w jakimkolwiek języku: „Czeka cię niespodzianka”. Chwila, w której wszystko ma się zmienić. W której matka zostawia ojca (głośno, słychać było rzucanie szklanek o ścianę), zabierając dziecko do Meksyku, i nie można nic zrobić, tylko stać na korytarzu niewielkiego zimnego domu i czekać, aż ktoś się do niego odezwie. Zmiany nigdy nie były dobre: jazda pociągami, ojciec, a potem brak ojca. Don Enrique z konsulatu w Waszyngtonie, potem Enrique w sypialni matki. Wszystko zmienia się w chwili, gdy stoisz, trzęsąc się, na korytarzu, czekając, by prześlizgnąć się z jednego świata do drugiego.

A teraz stoisz po pas w oceanie z okularami pływackimi na nosie, pod czujnym spojrzeniem Leandra. Zjawiała się też grupka chłopców ze wsi wymachujących smagłymi ramionami. Wciąż mają ze sobą długie noże, których używali do zbierania ostryg.

Biały piasek oblepił im stopy niczym jasne mokasyny. Zatrzymali się, żeby popatrzeć, przestali wymachiwać rękami, zamarli w oczekiwaniu. Nie pozostało nic innego, jak tylko zaczerpnąć powietrza i zanurkować w błękit wody.

I, o Boże, a jednak obietnice były prawdziwe, tu istniał cały świat. Wszelkie kolory ryb, w paski i w kropki, złote łuski, błękitne głowy. Państwo zawieszona w wodnym świetle, cała społeczność ryb wtykających spiczaste pyszczki między koralowce. Skubały dwa owłosione pnie, jego nogi, dwa gmachy, które były dla nich jedynie częścią krajobrazu. Chłopiec był tak przerażony i jednocześnie tak szczęśliwy, że aż dostał erekcji. Koniec z bezmyślnym podskakiwaniem w morzu. Koniec z wiarą w to, że w oceanie nie ma nic prócz błękitnej wody.

Przez cały dzień nie chciał wyjść z morza, aż kolory zaczęły ciemnieć. Na szczęście jego matka i Enrique mieli pod dostatkiem drinków, siedzieli na tarasie razem z mężczyznanami z Ameryki i barwili powietrze na niebiesko dymem z cygar, rozmawiali o zamachu na Obregóna i zastanawiali się, kto teraz położy kres reformom rolnym, nim *indios* wszystko zawłaszczą. Gdyby nie mezczał i limonki, jego matka być może poczułaby się znudzona gadaniem mężczyzn i zastanowiłaby się, czy jej syn przypadkiem nie utonął.

A tak zastanawiał się nad tym tylko Leandro. Kiedy następnego ranka chłopiec pojawił się w pawilonie kuchennym, żeby popatrzeć na przygotowywanie śniadania, Leandro rzekł:

– *Pícaro*, odpowiesz za to. Mężczyzna musi ponieść odpowiedzialność za każde wykroczenie.

Przez całe popołudnie Leandro martwił się, że okulary pływackie, które wniósł do tego domu, przyczyniły się do czyjejś śmierci. Karą było odkrycie, tuż po przebudzeniu, że na plecach pojawiła się wypalona słońcem plama na skórze wielkości tortilli. Kiedy winowajca podciągnął koszulę, żeby pokazać przypieczoną skórę, Leandro zaczął się śmiać. Był brązowy jak orzech kokosowy i nawet nie myślał o oparzeniach słonecznych. Przynajmniej tym razem nie powiedział *usted pagaré*, w języku, jakiego słudzy używają wobec swych państwa. Powiedział *tú pagarás* – „odpowiesz za to” – używając języka, jakim posługują się przyjaciele.

Przestępca pozostał niewzruszony.

– To ty podarowałeś mi okulary, a więc to twoja wina.

I znów zniknął w morzu prawie na cały dzień i spalił sobie plecy. Tego wieczoru Leandro musiał w nie wetrzeć smalec, powtarzając:

– *Pícaro*, urwisie, dlaczego tak głupio postępujesz? – *No seas malo* – powiedział, mówiąc mu na ty w dialekcie, jakiego używają przyjaciele, kochankowie i dorośli, kiedy mówią do dzieci. Nie wiadomo, do której grupy się zaliczał.

W SOBOTNI WIECZÓR PRZED Wielkim Tygodniem Salomé chciała wybrać się do miasta, żeby posłuchać muzyki. Jej syn też musiał iść, ponieważ potrzebowała jakiegoś ramienia, by się na nim wesprzeć podczas wędrówki dookoła placu. Wołała zwracać się do niego, używając środkowego imienia, William, lub po prostu Will, która to forma odnosiła się do angielskiego wyrażenia oznaczającego, że coś się stanie w przyszłości. Choć w jej ustach jego imię przypominało raczej brzmienie angielskiego wyrazu oznaczającego koło, rzecz, która do czegoś służy, ale tylko wtedy, gdy jest w ruchu. Nazywała się Salomé Huerta. Kiedy była młoda, uciekła, żeby stać się amerykańską Sally, a potem, na jakiś czas, Sally Shepherd, ale nic nie trwa wiecznie. Amerykańska Sally należała do przeszłości.

To był rok dąsów Salomé i ostatni rok jej pobytu w hacjendzie na wyspie Pixol, choć nikt jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Tamtego dnia dąsała się, ponieważ Enrique nie miał zamiaru przejść się z nią dookoła placu tylko po to, żeby mogła pochwalić się suknią. Miał zbyt dużo pracy. Praca oznaczała, że będzie siedział w bibliotece i przeczesywał obiema rękami lśniące włosy, popijając mezcal, przepacając kołnierzyk koszuli i przypatrując się kolumnom liczb. W ten sposób dowiadywał się, czy w danym tygodniu ma pieniędzy aż po wąsy, czy tylko po krocze.

Salomé włożyła nową suknię, umalowała usta, wzięła syna pod ramię i wyszła w miasto. Najpierw poczuli zapach placu: prażoną wanilię, cukierki kokosowe, kawę. Plac był pełen par przechadzających się pod rękę lub oplatających się ramionami jak bluszcz,

który dusi drzewa. Dziewczęta były modnie ubrane w pasiaste wełniane spódnice i koronkowe bluzki. Miały też szczupłych w pasie narzeczonych. Atmosferę święta ujęto w zgrabny kwadrat: na rogach placu ze słupków zwieszały się cztery długie sznury żarówek, odgradzając noc, która unosiła się tuż nad głowami zebra-nych.

Nad żelaznymi balkonami oświetlonego od dołu hotelu i innych budynków stojących przy placu kładły się łukowate cienie. Niewielka katedra wyglądała na wyższą niż w rzeczywistości i emanowała grozą, jak ktoś, kto wchodzi do twojej sypialni ze świecą. Orkiestra stała w małym okrągłym pawilonie, którego spiczasty dach i kute balustrady niedawno pomalowano na białe, podobnie jak wszystko inne, w tym ogromne stare drzewa figowe, które otaczały plac. Ich pnie lśniły w ciemnościach, ale tylko do pewnej wysokości, jakby powódź bieli, która przeszła przez miasto, zazna-czyła swój najwyższy poziom.

Salomé wydawała się zadowolona, że niesie ją rzeka ludzi przechadzających się po placu, choć w eleganckich butach z krokodylej skóry i sukience z obniżonym stanem, która ukazywała jej zgrabne nogi, wyróżniała się na tle innych. Tłum rozstępował się przed nią. Chyba sprawiało jej przyjemność, że jest zielonooką Hiszpanką wśród Indian, a dokładniej Kreolką urodzoną w Meksyku, lecz bez obcej domieszki. Nie płynęła w niej nawet kropla indiańskiej krwi. Jej błękitnooki syn, w połowie Amerykanin, był o wiele mniej zadowolony z roli wysokiego zielska rosnącego wśród miejscowej ludności. Doskonale nadawaliby się na ilustrację rozdziału poświęconego podziałowi klasowemu narodu, które w tamtych czasach zamieszczano w podręcznikach szkolnych.

– W przyszłym roku – powiedziała Salomé po angielsku, szczypiąc go czule w łokieć – będziesz tu ze swoją dziewczyną. To ostatnia Niedziela Palmowa, kiedy masz ochotę przechadzać się tu ze swoją starą. – Lubiła używać amerykańskiego slangu, szczególnie kiedy była w tłumie. – To takie pożegnanie z dawnymi dobrymi czasami – obwieściła, umieszczając tymi słowami ich dwoje w niewidzialnym pokoju i zamykając drzwi.

– Nie będę miał dziewczyny.

– W przyszłym roku skończysz czternaście lat. Już jesteś wyższy od prezydenta Portesa Gila. Dlaczego miałbyś nie mieć dziewczyny?

– Portes Gil nie jest nawet prawdziwym prezydentem. Udało mu się tylko dlatego, że ktoś wykończył Obregóna.

– Może uda ci się awansować w ten sam sposób po tym, jak pierwszy *novio* jakiejś dziewczyny dostanie kosza. Nieważne, jak zdobędziesz to „stanowisko”, kurczaczku. Najważniejsze, że ona będzie twoja.

– W przyszłym roku to miasto może być całe twoje, jeśli będziesz chciała.

– Ale ty będziesz miał dziewczynę. O nic więcej mi nie chodzi. Wyrwiesz się i zostawisz mnie samą. – To był rodzaj gry. Trudno było ją wygrać.

– A jeśli nie podoba ci się tutaj, mamó, możesz pojechać gdzie indziej. Do jakiegoś eleganckiego miasta, gdzie ludzie mają lepsze zajęcia niż tylko przechadzanie się dookoła rynku.

– A ty – upierała się – i tak będziesz miał tę dziewczynę.

Nie jakąś tam dziewczynę, ale dziewczynę, która już była dla niej wrogiem.

– Co cię to obchodzi? Masz Enrique.

– Kiedy tak o nim mówisz, to brzmi, jakby był jakąś chorobą.

Tłum rozstał się przed kutą balustradą, żeby zrobić miejsce do tańczenia. Starzy mężczyźni w sandałach trzymali w sztywnych ramionach swoje żony o beczułkowatych kształtach.

– Nieważne, co będzie, mamó, w przyszłym roku nie będziesz stara.

Oparła głowę na jego ramieniu. Wygrał.

Salomé nie mogła ścierpieć, że jej syn jest od niej wyższy: kiedy pierwszy raz to dostrzegła, ogarnęła ją wściekłość, a zaraz potem przygnębienie. Według jej poglądów na życie w tej chwili stała się w dwóch trzecich martwa. Pierwsza część życia to dzieciństwo. Druga to dzieciństwo twojego dziecka. Potem pora na trzecią, starość. Kolejna zagadka matematyczna bez odpowiedzi, szczególnie kiedy jest się dzieckiem. Cofanie się w rozwoju, stawanie się nienarodzonym – to byłoby w takim przypadku rozwiązaniem.

Przystanęli, podziwiając mariachi zgromadzonych na podestie, przystojnych mężczyzn, którzy ściągnęli usta, składając długie pocałunki na ustnikach mosiężnych trąbek. Po obu stronach ich obcisłych czarnych spodni biegły rzędy srebrnych guzików. Rynek się zapełniał; kobiety i mężczyźni przybywali na plac prosto z pól ananasowych, nie zdążyli nawet otrzepać kurzu ze stóp. Wychodzili z ciemności, kierując się w stronę oświetlonego elektrycznością kwadratu. Niektórzy z nich przysiadali na gołej ziemi pod kamienną ścianą kościoła, inni rozkładali koce, opierali plecy o chłodne kamienie, podczas gdy ich dzieci spały jedno na drugim. Byli to przekupnie, którzy zjawili się tu z powodu Wielkiego Tygodnia. Każda z kobiet miała na sobie strój charakterystyczny dla jej wioski. Te z południa nosiły dziwne spódnice, które wyglądały jak ciężkie koce ułożone w plisy, a do tego zwiewne bluzki z wstążkami i haftami. Nosiły je zarówno teraz, jak i w Wielkanoc, a także każdego innego dnia, nieważne, czy wybierały się na ślub, czy szły nakarmić świnię.

Przyniosły naręcza liści palmowych i siedziały teraz, rozplątując je i dzieląc na pasma. Przez całą noc ich dłonie będą poruszały się w ciemności, żeby spleść z liści pasy w zaskakujące kształty rezurekcyjne: krzyże, wieńce lilii, gołębnice uosabiające Ducha Świętego, a nawet samego Chrystusa. Wszystkie te przedmioty należało wykonać ręcznie w ciągu jednej nocy, aby posłużyły w czasie zakazanej mszy z okazji Niedzieli Palmowej. Potem je palono, ponieważ symbole religijne były nielegalne. Księża byli nielegalni, odprawianie mszy było nielegalne, wszystko to zostało zakazane w wyniku rewolucji.

Wcześniej tamtego roku do miasta wjechali *Cristeros* obwieśnieni nabojami niczym biżuterią. Galopowali dookoła placu, by zaprotestować przeciwko prawu, które zakazywało księży. Dziewczęta wiwatowały i rzucały kwiaty, jakby sam Pancho Villa wstał z grobu i wsiadł na konia. Stare kobiety kołysały się na klęczkach z zamkniętymi oczami, przytulając krzyże i całując je, jakby to były niemowlęta. Jutro zebrani tu mieszkańcy wsi zanoszą swoje tajemne symbole do kościoła, w którym nie będzie księży, i zapalą świece. Wszyscy będą zachowywali się tak samo: jak ławica ryb. Będą

tak głęboko przekonani o swojej racji, że złamią prawo, uwierzą w bezpieczeństwo swych dusz, a potem rozejdą się do domów i zniszczą dowody.

Było już późno, na placu do tańca małżeństwa ustąpiły miejsca grupie młodych: dziewczynom, które powplatały we włosy czerwone nitki i okręciły je dookoła głów niczym korony. Ich białe suknie wirowały jak piana, halki były tak szerokie, że mogły złapać je za rąbek i unieść czubkami palców, i przypominały skrzydła motyla trzepoczące w tańcu. Wysokie obcasy męskich butów złościły ziemię, stukwały jak stado ogierów zamkniętych w zagrodzie. Kiedy muzyka na chwilę cichła, mężczyźni opierali się o swoje partnerki niczym zwierzęta, które mają zamiar za chwilę zacząć się parzyć. Odsuń się, chodź no tu, dziewczęta poruszały ramionami. Mężczyźni wycierali sobie pachy chusteczkami, po czym machali nimi dziewczętom pod nosem.

Salomé postanowiła natychmiast wrócić do domu.

– Będziemy musieli iść na piechotę, mamó. Natividad przyjeździe po nas dopiero o jedenastej, tak mu przecież kazałaś.

– W takim razie pójdziemy na piechotę – odparła.

– Poczekaj jeszcze pół godziny. W przeciwnym razie czeka nas spacer w ciemnościach. Mogą nas zamordować bandyci.

– Nikt nas nie zamorduje. Wszyscy bandyci są na rynku i próbują kogoś okraść. – Salomé była bardzo praktyczna, nawet jak na histeryczkę.

– Nienawidzisz chodzić.

– Nienawidzę przyglądać się, jak te prymitywy się popisują. Koza w sukience wciąż pozostaje kozą.

I wtedy wszystko spowija ciemność. Ktoś musiał wyłączyć światło. Tłum westchnął. Motyle-dziewczęta postawiły na swych zdobnych w warkocze głowach szklanki z zapalonymi świecami w środku. Kiedy tańczyły, świece poruszały się po niewidzialnej powierzchni jak odbicie księżycy na wodzie.

Salomé tak bardzo chciała wrócić do domu, nawet na piechotę, że już zaczęła marsz w złym kierunku. Nie było łatwo ją dogonić.

– Indiańskie dziewczęta – prychnęła. – Jaki mężczyzna by się za nimi uganiał? Wieśniaczka nigdy nie stanie się kimś więcej.

Tancerki były motylami. Salomé umiała zobaczyć brud pod ich paznokciami nawet z odległości stu kroków, ale nie dostrzegała ich skrzydeł.

ENRIQUE BYŁ PEWNY, ŻE przedsiębiorcy naftowi dojdą do ugody. Mogło to jednak zająć trochę czasu. Przedsiębiorcy przyjechali na wyspę Pixol razem z żonami. Wszyscy zatrzymali się w mieście. Enrique próbował ich przekonać, żeby nocowali w hacjendzie, ponieważ jego gościnność mogła zostać wzięta pod uwagę podczas negocjacji.

– Ten hotel zbudowano jeszcze przed potopem. Widział pan windę? Klatka dla ptaków zawieszona na łańcuszku od zegarka. A pokoje są mniejsze od puszki na cygara.

Salomé zgromiła go wzrokiem. Skąd on wie takie rzeczy?

Żony nosiły włosy przycięte do ucha i eleganckie sukienki, ale wszystkie, według Salomé, wkroczyły w trzecią z Trzech Części Życia. A być może nawet w czwartą. Po kolacji, kiedy mężczyźni palili w bibliotece cygara z Tuxtlan, kobiety gromadziły się, stojąc w szpilkach na tarasie. Małe kapelusiki miały dobrze przymocowane do włosów na wypadek wiatru, do ich policzków ściśle przylegały wymodelowane loki. Trzymając kieliszki z czerwonym winem, spoglądały na zatokę i rozmawiały o tym, jak cicho jest pod powierzchnią morza.

– Wodorosty kołyszają się niczym drzewa palmowe – twierdziły jednomyślnie. – Cicho tam jak w grobie.

Chłopiec, który siedział na niskim murku na skraju tarasu, myślał, że te papugi byłyby rozczarowane, gdyby się dowiedziały, że jest tam tak samo głośno jak wszędzie. Inaczej, ale nie cicho. Jak w jednym z tajemniczych światów z książek Juliusza Verne'a pełnym dziwów, w którym nikt nie przejmuje się naszą rzeczywistością. Chłopiec często wytrząsał z uszu pęcherzyki powietrza i po prostu chłonał dźwięki, dryfując i słuchając nieustającego chóru cichych młaśnień i pisków. Przyglądał się pojedynczym rybom, kiedy kręciły się wokół koralowców, widział, jak mówiły do innych. A przynajmniej wydawały dźwięki.

Następnego dnia zapytał Leandra:

– Jaka jest różnica między mówieniem a wydawaniem dźwięków?

Salomé nie zdążyła się jeszcze nauczyć imienia Leandra, nazywała go „nowym chłopcem kuchennym”. Ostatnia pomocnica, Ofelia, była ładną dziewczyną, która cieszyła się zbyt dużą sympatią Enrique, dlatego Salomé ją zwolniła. Leandro zajmował więcej miejsca, kiedy stał na rozstawionych bosych nogach, niewzruszony niczym stiukowe kolumny, na których wspierały się dachy osłaniające ścieżki w tym domu w kolorze ochry. Wzdłuż przejścia między domem a pawilonem kuchennym stał rząd drzewek cytrynowych w glinianych donicach. Podobnie jak te drzewka Leandro tkwił tam przez większość dnia, siekając kolczochy maczetą na kuchennym blacie albo obierając krewetki lub gotując sopa de milpa, zupę z kukurydzy z awokado i posiekanymi kwiatami kabaczka. Zupę xochitl z kurczakiem i warzywami. Sałatki z opuncji z awokado i kolendrą. Ryż przyrządzał z dodatkiem czegoś słodkawego.

Każdego dnia mówił:

– Wziąłbyś nóż do ręki i przestał mi zawracać głowę. – Jednak robił to z uśmiechem, a nie w sposób, w jaki Salomé narzekała na jego natarczywość. W jaki ostrzegąca:

– Jeśli tu wejdiesz z tymi zapiaszczonymi stopami, podpadniesz mi.

Zastanawiając się nad różnicą między rozmową a hałasem, Leandro powiedział:

– *Ca depende.*

– Zależy od czego?

– Od intencji. Od tego, czy chce, żeby inne ryby zrozumiały, o co jej chodzi. – Leandro z powagą przyjrzał się krewetkom, które leżały przed nim, jakby mogły wyrazić ostatnie życzenie przed egzekucją. – Jeśli ryba chce tylko zasygnalizować, że tam jest, to jest hałas. Ale może te mlaśnięcia oznaczają „idź sobie” albo „moje jedzenie, nie twoje”.

– Albo „podpadłeś mi”.

Leandro zaśmiał się, ponieważ po hiszpańsku te słowa brzmiały zabawnie: *Su nombre es lodo.*

- *Exacto* – odpowiedział.
- A więc dla innych ryb to rozmowa, ale dla mnie tylko hałas – stwierdził chłopiec.

Leandro potrzebował pomocy – zbyt dużo gęb do wyżywienia w tym domu, Amerykanie lubili jeść. Poza tym były urodziny Salomé i zażyczyła sobie kałamarnicy. Żony biznesmenów przewróciłyby oczami pod tymi swoimi kloszowatymi kapelusikami, gdyby zobaczyły kałamarnicę à la Veracruzana. Za to mężczyźni zjedliby macki, nawet tego nie zauważając, tak byli pochłonięci swoimi opowieściami. O tym, jak ich najemnicy stłumili bunt w Sonorze i przepędzili Escobara, który uciekał z podwiniętym ogonem. Im więcej mezcalu wypili, tym szybciej uciekał Escobar.

Po kolacji Leandro stwierdził: *El flojo trabaja doble* – leniwy człowiek musi pracować podwójnie – ponieważ chłopiec próbował przynieść wszystkie talerze do kuchni za jednym razem. Upuścił dwa na posadzkę i rozbiły się w drobny mak. Leandro miał rację – sprzątanie zajęło dwa razy więcej czasu niż zrobienie dodatkowego kursu. Mimo to wyszedł z kuchni i pomógł w sprzątanu bałaganu, uklękawszy pod okiem Amerykanów, którzy deliberovali nad fajtłapowatością służby, jedną z rzeczy, która się nie zmienia, niezależnie od kraju.

Następnie Salomé próbowała namówić wszystkich na tańce. Podkręciła gramofon i pomachała butelką mezcalu w kierunku mężczyzn, ale oni wybrali sen, zostawiając ją, snującą się po salonie niczym balon wypełniony powietrzem, rozczarowaną. Były jej urodziny, a nawet syn, któremu dała życie, nie chciał z nią tańczyć.

– Na Boga, Williamie, jesteś nudny – orzekła. – Nos w książkach, jesteś jak wybrakowany egzemplarz. – Chudzina, młodzik, psuja, to tylko mały wybór określeń, które przychodziły Salomé do głowy, kiedy miała w czubie. Potem próbował z nią tańczyć, ale było za późno. Nie mogła utrzymać się na nogach.

Mężczyźni mawiali, że Salomé nie da się zbić z pantałyku. Mówili, że jest wspaniała, zachwycająca, trochę jak czarodziejka. Ale też niezłe z niej ziółko. Jeden z przedsiębiorców tak właśnie opisał ją swojej żonie, kiedy inni byli na zewnątrz. Tłumaczył jej

sytuację. Ziółko, ponieważ wciąż jest żoną amerykańskiego męża. Minęło tyle czasu i jeszcze się nie rozwiodła; to był jakiś biedaczyna z Waszyngtonu, księgowy w ministerstwie. Wdała się w romans z meksykańskim attaché tuż pod jego nosem, nie mogła mieć wtedy więcej niż dwadzieścia pięć lat, no i miała dziecko. Wykiwała tego drugiego gościa. Uważaj na tę kokietkę Salomé, ostrzegł żonę. Łatwo znikna.

ŚWIĘTO CINCO DE MAYO wieś uczciła fajerwerkami, upamiętniając zwycięstwo nad wojskami Napoleona w bitwie pod Pueblą. Salomé bolała głowa – pozostałość z zeszłego wieczoru – i spędziła cały dzień w swojej niewielkiej sypialni na końcu korytarza. Nazywała to pomieszczenie Elba, miejsce jej zesłania. Ostatnimi czasy Enrique wczesnie szedł do siebie, zamykając ciężkie drzwi prowadzące do jego sypialni. Dziś nie miała ochoty słuchać hałasów. Dziś, narzekając, na równinie rozlega się więcej wybuchów niż potrzeba, żeby odstraszyć armię Napoleona.

Chłopiec nie poszedł do miasta, żeby wziąć udział w świętowaniu. Wiedział, że w końcu żołnierze Napoleona wrócili, zajęli Santa Anę i objęli rządy w Meksyku na czas dostatecznie długi, by każdy zaczął mówić po francusku i nosić obcisłe spodnie aż do 1867 roku, albo jakoś tak. Powinien skończyć książkę o cesarzu Maksymilianie, którą wziął z biblioteki Enrique. Tak wyglądał plan, jaki Salomé miała wobec niego: Lektura Spleśniałych Tomów, ponieważ na Pixol nie było szkoły odpowiedniej dla chłopca, który był już wyższy niż prezydent Portes Gil. Najlepszym miejscem do czytania był jednak las, a nie dom. Pod drzewem, niedaleko ujścia rzeki, dwadzieścia minut spacerem ścieżką. A książka o Maksymilianie była gruba. Oczywiście, że większy sens miało zabranie *Tajemniczej historii w Styles*.

Największe drzewo amante miało grube konary, które wyrastały z pnia nisko niczym żagle, dzieląc przestrzeń na niewielkie komnaty ozdobione kotarami z paproci i paczuli. Mieszkały w nich ważki i drozdy, raz zauważył też zwiniętego w kłębek małego węża. Wiele drzew w tej dżungli miało podstawę szeroką jak chaty

w wiosce Leandra, a ich gałęzie sięgały zbyt wysoko, by je dojrzeć. Nie było wiadomo, co tam mieszka. Kiedyś były to demony o oczach jak spodki, wyjące z żądzы krwi. Być może te gałęzie były jedynie balkonami małych hoteli i miejscem, gdzie gnieździły się ptaki oropendola, których bulgoczący świergot brzmiał jak odgłos wody wypływającej z menażki.

KAŻDA ZE ŚCIAN w bibliotece Enrique była zastawiona drewnianymi gablotami. Nie było tam okien, tylko półki, a fronty wszystkich gablot osłaniały metalowe kraty przypominające więzienne okna, strzegące dostępu do książek. Kwadratowe otwory pomiędzy prętami były na tyle duże, że chłopiec, który miał drobne kości i długie palce, mógł włożyć przez nie rękę, jakby wkładał ją w metalową bransoletę. Mógł sięgnąć i dotknąć grzbietów książek zupełnie jak Edmund Dantés w *Hrabim Monte Christo* sięgał przez kraty, by dotknąć twarzy swojej ukochanej, kiedy odwiedziła go w więzieniu. Zachowując ostrożność, chłopiec wyciągał książkę z ciasnego rzędu i kiedy przełożył obie dłonie przez metalowe kraty, obracał ją i oglądał, a nawet otwierał, jeśli półka była dostatecznie głęboka. Nie mógł jej jednak wyjąć. Kraty były spięte żelaznymi kłódkami.

Każdej niedzieli Enrique wyjmował z kieszeni klucz, otwierał kraty i brał z półki dokładnie cztery książki, które zostawiał na stole, bez miejsca na dyskusję. Zawsze były to książki historyczne, pachnące pleśnią, które miały stanowić wkład do edukacji chłopca. Kilka z nich było w porządku, na przykład *Zozobra* i *Roman-cero cygańskie*, wiersze młodego człowieka, który kochał Cyganów. Cervantes zapowiadał się obiecująco, ale wymagał wczytywania się w archaiczny hiszpański. Jeden tydzień z *Don Kichotem*, po którym trzeba było go zwrócić, żeby został zamknięty za kratami i wymieniony na nowy zestaw książek, pozostawił chłopca z takim uczuciem, jakby tylko zerknął na coś przez dziurkę od klucza.

A poza tym żadna z tych książek nie wytrzymała konkurencji z Agathą Christie dłużej niż osiem minut, ani też konkurencji z innymi książkami z dawnych czasów, które przyjechały pociągiem. Matka pozwoliła mu zabrać dwie walizki: jedną z książkami

i jedną z ubraniami. Ubrania na nic się zdały, natychmiast z nich wyrósł. Powinien był obie walizki zapęłnić książkami. *Tajemnicza historia w Styles, Hrabia Monte Christo, W osiemdziesiąt dni dookoła świata, Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, książki po angielsku, które nie pachniały pleśnią. Zdażył już przeczytać większość z nich, niektóre kilkakrotnie. Kusili go trzej muszkietierowie wymachujący mieczami, ale zawsze wpychał ich do walizki. Cóż mu pozostanie, kiedy przeczyta wszystkie te książki? Spędzał bezsenne noce, obawiając się tej chwili.

Salomé uważała, że program prawdziwej szkoły jest dość niejasny, on też był tego zdania: wilgotne wspomnienia wełnianych płaszczy i niegrzecznych chłopców, a do tego sport, okropna sprawa narzucana im każdego dnia. Pewna pani w brązowym swetrze obdarowywała go książkami, i to była najlepsza rzecz, jaką pamiętał z domu.

– Ale teraz nie mówimy o tym miejscu „dom” – podkreślała Salomé. – Jesteśmy tutaj, nie ma szkoły, będziesz musiał zatem przeczytać każdą książkę z tej choleralnej biblioteki, jeśli tu zostanieemy. – Jeśli nie, jej program stawał się mniej pewny.

W bibliotece często śmierdziało, bo przedsiębiorcy naftowi całymimi nocami palili tam cygara. Salomé nienawidziła tego wszystkiego – cygar i męskich rozmów. A także książek za kratami, a może wszystkich książek, jak też chuderlawych chłopców, którzy zbyt dużo ich czytali. Mimo to w sklepie przy przystani promów kupiła mu notatnik. Zdarzyło się to w dniu, w którym próbowali uciec od Enrique, a ona płakała, ponieważ nie było żadnego miejsca, do którego mogliby się udać. Siedziała zrezygnowana na metalowej ławce w sukience z jedwabnej krepy, ramiona trzęsły się jej tak długo, że musiał podejść do kiosku z tytoniem i zacząć przeglądać czasopisma. To tam znalazł kartonowy notatnik, najpiękniejszą książkę, jaka kiedykolwiek istniała, ponieważ nie było jeszcze wiadomo, co będzie zawierała.

Kiedy go oglądał, matka stanęła za jego plecami. Oparła podbródek o jego ramię, otarła policzek wierzchem dłoni i powiedziała:

– Kupimy go zatem.

Właściciel starannie zawinął notes w brązowy papier i

przewiązał sznurkiem.

Chciała, żeby zaczął opisywać tę historię, żeby opowiedział, co się działo w Meksyku, zanim połączą ich wyjce i nie zostanie po nich ślad. Później wielokrotnie zmieniała zdanie i prosiła go, żeby przestał pisać. Denerwowało ją to.

Oczywiście pod koniec tamtego dnia, po tym jak uciekli, kupili notatnik i zjedli gotowane krewetki z papierowego rożka, stojąc na przystani i przyglądając się odpływającym promom, wrócili do Enrique. Byli więźniami na wyspie niczym hrabia Monte Christo. Haczenda miała ciężkie drzwi i grube ściany, za którymi cały dzień panował chłód, jak też okna, przez całą noc wpuszczające do wnętrza szum morza – „szu, szu” – jak bicie serca. Schudnie tu na kość, a kiedy skończy czytać wszystkie książki, umrze z głodu.

Ale nie, tak nie będzie. Notatnik z kiosku z tytoniem był iskierką nadziei, planem ucieczki dla więźnia. Jego puste strony staną się księgą wszystkiego, cudowne i nieskończone jak morze nocą, bicie serca, które nie ustaje.

Salomé nie martwiła się, że zabraknie książek, tylko że jej ubrania wyjdą z mody.

– Na tej wyspie nie można niczego kupić. Chyba że on chce, żebym stała się kozą i nosiła spódnice do samej ziemi.

Skrzynia z jej najlepszymi strojami została wysłana łodem z Waszyngtonu w zeszłym roku, tak przynajmniej twierdził prawnik, który był odpowiedzialny za te sprawy. Ale zarówno skrzynia, jak i rozwód utknęły gdzieś po drodze. Enrique twierdził, że być może pewnego dnia ujrzą tę skrzynię, *ojalá*, jeśli taka będzie wola Boża. Co znaczyło, że jeśli wola była inna, to zapatyści napadli na pociąg i wszystko ukradli. Chłopiec wykrzyknął:

– O tak, wyobraźcie sobie! Zapatyści z bronią za pasem, czytający Agathę Christie przy ognisku. Jedzący z porcelanowych talerzy mamy i przechadzający się w jej szlafrokach.

Enrique podkreślił węża i skomentował:

– Wyobraźcie sobie! Szkoda, że nie da się sprzedać takich bzdurnych historyjek.

– REWOLUCJA W MEKSYKU to kwestia mody – stwierdził Enrique w obecności przedsiębiorców naftowych podczas kolacji zeszłego wieczoru. – Podobnie jak śmieszne kapelusze, które noszą nasze żony. Nie dbam o to, co mówią wam w Waszyngtonie, ten kraj będzie ciężko pracował na zagraniczne dolary. – Uniósł kieliszek. – Serce Meksyku jest jak serce wiernej kobiety, poślubionej na zawsze Porfiriowi Dízowi.

Dobito targu, przedsiębiorcy wyjechali. Następnego ranka Enrique pozwolił Salomé usiąść mu na kolanach przy śniadaniu i pocałować się tak, jakby był instrumentem w rękach trębacza. Objaw postępu, oznajmiła, kiedy pojechał wizytować nową pakowalnię.

– Słyszałeś, jak to mówił? „Śmieszne kapelusze, które noszą nasze żony?” – Teraz jej najważniejszym celem był powrót do jego sypialni. A drugim zwolnienie jego służącej.

Najlepszym pomysłem, jaki każdego dnia przychodził do głowy chłopcu, było zniknąć na cały dzień. Wyjść przez kuchnię, iść aleją wysadzaną drzewami mulata o czerwonej korze łuszczącej się z pni, spod której wзираła gładka czarna skóra. Przejść na skróty przez spłacheć piasku w stronę plantacji ananasów, nad niskim kamiennym murkiem w stronę morza. Miał plecak, w którym była książka i tortille na lunch, okulary pływackie oraz kąpielówki. Nikt go nie widział prócz Leandra, którego uważne spojrzenie, kiedy chłopiec szedł piaszczystą dróżką, sprawiało, że czuł się nagi, choć tak nie było. Leandro, który co rano bosy nadchodził ścieżką, niosąc dymny aromat ognisk rozpalanych, żeby przygotować śniadanie w jego wiosce, ale ubrany w czystą koszulę upraną przez żonę. Salomé mówiła, że Leandro miał już żonę, dziecko i niemowlę. Taki młody, cmokała, zadowolona, że komuś udało się zniszczyć sobie życie nawet szybciej niż jej. Jeśli Leandro znajdował się już w Drugiej Części Życia (tej, w której pojawiają się dzieci), to zapewne będzie ono krótkie.

Każdego dnia w pobliżu rafy pojawiały się ryby, przyplływały po resztki tortilli, przynoszone przez chłopca z kuchni. Rwał je na kawałki i rzucał na wodę. Jedna z ryb miała dziób jak papuga i ognistoczerwony brzuch, zawsze ustawiała się pierwsza w kolejce po dzienną porcję. Nie był to zatem prawdziwy przyjaciel. Była

jak mężczyźni, którzy zjawiali się z wizytą z powodu darmowego posiłku, a ich oczy pełne były Salomé w satynowej sukni z dekoltem w szpic.

SALOMÉ OPRACOWAŁA PLAN ATAKU. Po pierwsze, poinstruowała Leandra: każdego dnia gotujemy tylko ulubione potrawy Enrique. Począwszy od śniadania: kawa o smaku cynamonu, ciepłe tortille prosto z patelni, ananas z szynką i coś, co nazywała rozwiedzionymi jajkami – dwa jaja ułożone na talerzu, jedno z łagodnym czerwonym sosem salsa, a drugie z pikantnym zielonym. Salomé miała własną wizję miłości.

Kuchnię łączyło z domem przejście obsadzone drzewkami limonki. Pomieszczenie miało niskie ceglane ściany, deski pomyślane jako blaty robocze, i było otwarte z czterech stron, żeby morskie powietrze wywiewało dym unoszący się z ceglanego paleniska. Umieszczone w czterech rogach słupy podtrzymywały dach oraz ceglany piec do wypieku chleba, skulony w rogu. Natividad, najstarszy ze służących, który był prawie ślepy, przychodził codziennie o świcie, by wyczyścić palenisko i rozpalić ogień, układając patyczki jeden obok drugiego, jakby były małymi dziećmi.

Kiedy zjawiał się Leandro, odsuwał płonące szczapki na boki, trzymając żar z dala od środka ciężkiej żelaznej patelni. Przecierał ją szmatką zanurzoną w smalcu, żeby nie przywierały do niej tortille. Tuż obok słoika z tłuszczem stała duża misa lepkiego ciasta kukurydzianego, z którego formował kule i spłaszczal je dłonią. Podczas pieczenia żar zdobił każdy z białych placków sznurem czarnych pereł. Grubym gorditas, kiedy się piekły, nacinał brzegi, żeby nałożyć w nie pastę z fasoli. Na empanadas robił cienkie krążki, potem składał je z nadzieniem na pół i zsuwał na patelnię z rozgrzanym tłuszczem.

Enrique najbardziej lubił pan dulces, słodkie bułeczki z ciasta z pszennej mąki. Puchate i miękkie, posypane grubym cukrem, wypełnione ananasem, słodko-cierpkie od dymu z paleniska. Enrique zwolnił wielu kucharzy, zanim z nieba spadł mu Leandro. Pan dulce to niełatwa potrawa. Wanilia musi być z Papantli. Mąkę

trzeba zetrzeć na kamiennej płycie. Nie tak jak w przypadku ciasta na tortillę, gdy kukurydzę moczy się w wodzie z limetą i rozciera z grubsza, kiedy jest mokra. To potrafi każdy Meksykanin, mawiał Leandro. Sucha mąka, z której robi się europejski chleb, to inna sprawa. Musi być zmielona tak drobno, że jej chmury unoszą się w powietrzu. Trudno wymieszać ją z wodą, ponieważ łatwo zrobić to zbyt szybko: wylać na mąkę zbyt zimną wodę, co powoduje powstawanie okropnych grud.

– *¡Dios mío!* Coś ty narobił?

Wymówka chłopca: wiaderko było zbyt ciężkie.

– *Flojo*, jesteś tak wysoki jak ja. Potrafisz unieść wiadro.

Ciasto trzeba było wyrzucić i zacząć wszystko od nowa. Leandro z niebios, anioł cierpliwości, przerwał na chwilę, aby umyć ręce w wiaderku i wytrzeć je o swoje białe spodnie. Pokażę ci, jak to zrobić. Zaczynij od dwóch kilogramów mąki. Zrób z niej górę na blacie. W kopczyk wrób palcami wiórki masła, sól i sodę. Potem zrób pośrodku dołek, aby wszystko wyglądało jak skała wulkaniczna dookoła krateru. W środek wlej jezioro zimnej wody. Powoli spychaj góry do jeziora, wyrabiając wodę z brzegiem góry, by powstało błoto. Stopniowo. Bez wysepek. Masa rośnie, aż nie ma już gór i jeziora, a tylko wielka kula ciasta.

– Proszę. Nie każdy Meksykanin potrafi to zrobić, *muchacho*.

Leandro delikatnie wyrobił ciasto, aż stało się gładkie, luźne i jednocześnie ściśle. Spędzi noc w misce, pod przykryciem. Rano Leandro rozwałkuje je i potnie maczetą w kwadraty, na każdy wyłoży łyżką trochę nadzienia ananasowego i złoży w trójkąt, który posypie ziarnami cukru moczonymi w wanilii.

– Teraz wiesz, co zrobić, żeby szef był szczęśliwy – powiedział.

– Gotowanie w tym domu przypomina wojnę. Ja jestem kapitanem od chleba, a ty moim pierwszym oficerem. Jeśli wyrzuci twoją matkę, możesz utrzymać tu pracę, jeżeli będziesz potrafił zrobić pan dulce i blandas.

– Które to blandas?

– Oficerze, nie możesz sobie pozwolić na tego rodzaju błąd. Blandas to te duże i miękkie, na których punkcie szaleje. Tortille tak wielkie, że możesz w nie zawinąć niemowlę, miękkie jak

skrzydła anioła.

– *Sí, señor*. – Wysoki chłopiec zsalutował. – Tak wielkie, że możesz zawinąć w nie anioła i miękkie jak pupa niemowlaka.

Leandro się roześmiał.

– Małe anioły – dodał. – Tylko takie, które są jeszcze dziećmi.

DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO CZERWCA 1929 roku olbrzymia iguana wspięła się na mangowiec rosnący obok patio i sprawiła, że Salomé wstała od stołu i zaczęła wrzeszczeć. W tym też dniu skończył się trzyletni okres ciszy, choć iguana nie miała z tym nic wspólnego.

Podpisana przez prezydenta deklaracja kończyła trzyletni zakaz odprawiania mszy. Wojna z *Cristeros* dobiegła końca. W niedzielę dzwony biły przez cały dzień, nawołując do powrotu księży. Nie roszczono sobie już prawa do ich złotych pierścieni, aktów własności ziemi i wolności. Enrique potraktował to jak dowód: Meksyk pada na kolana przed ołtarzem, gotów powrócić do czasów Porfiria Díaza. Prawdziwi Meksykanie zawsze będą rozumieli, jaka jest wartość cnót pokory, pobożności i patriotyzmu.

– I przyzwoitych kobiet – zwrócił się do Salomé, cytując Díaza: – „Tylko w swym domu, jak motyl w szklanym słoju, kobieta może osiągnąć najwyższy stopień przyzwoitości”. – Oczekiwał, że Salomé razem z synem pojedzie do miasta na mszę pokutną.

– Jeśli chce mieć motyla, to powinien mi pozwolić zostać w domu, w jego cholernym szklanym słoju – kipiła ze złości w powozie, w drodze do kościoła. Salomé gorąco popierała Ciszę Trzyletnią. Jej zdaniem msza byłaby bardziej nużąca tylko wtedy, gdyby trzeba było na nią wkładać bawełniane pończochy. Ona też żyła pod rządami Porfiria, nadzorowanymi przez mroczne zwierzchnictwo zakonnic, które nie miały litości dla pyskatej córki biznesmena przychodzącej do szkoły w spódnicy, która nie zakrywała kostek. Salomé udało się w cudowny sposób uciec, zupełnie jak hrabiemu Monte Christo: pojechała do Ameryki, gdzie zjednała sobie księgowego z firmy ojca, który okazał się bezsilny wobec jej uroku. Rozwiązała matematyczny problem swych szesnastu lat,

twierdząc, że ma dwadzieścia. Mając dwadzieścia cztery, twierdziła to samo, równoważąc w ten sposób równanie. Została Sally ochrzczoną w Kościele oportunistów. Nawet teraz, kiedy zbliżali się do miejskiej katedry, przewracała oczami i mówiła: „Opium dla mas”, naśladując mężczyzn z rządu, którzy próbowali pozbyć się księży. Jednak nie mówiła tego po hiszpańsku, żeby woźnica nie mógł jej zrozumieć.

Katedra pełna była poważnych dzieci, rolników i starych kobiet na grubych nogach. Niektórzy odprawiali drogę krzyżową, krążąc na obrzeżach tłumu niczym planety na swych orbitach. Długa kolejka mieszkańców miasteczka czekała na przyjęcie komunii, lecz Salomé przeszła na przód kolejki, przyjmując opłatek na język, jakby była to fabryka pieczywa, a ona miała jeszcze mnóstwo innych spraw do załatwienia.

Ksiądz miał na sobie złote szaty i spiczasty kapelusz. Przez te trzy lata, kiedy się ukrywał, udało mu się zachować swoje odzienie w bardzo dobrym stanie. Wszystkie oczy, z wyjątkiem tych należących do Salomé, podążały za nim niczym rośliny tęskniące do słońca. Ona wyszła najszybciej, jak się dało, i natychmiast pomaszerowała do powozu, warknąwszy na Natividadą, żeby ruszał, i gniewnie szukając aspiryny w wyszywanej koralikami torebce. Wszystko, co dotyczyło Salomé, pochodziło z butelki lub ze słoja: najpierw puder i perfumy, pomada do układania włosów w fale. Potem ból głowy z butelki mezcalu. Następnie lek na niego z fiołki z tabletkami musującymi Bellans. Być może jej taniec, podkręcanie gramofonu i znikanie po angielsku również pochodziły z jakiejś fiołki, ukrytego pod obrusem w jej pokoju pojemniczka z czymś, co pozwalało zachować pozory.

Jeśli Enrique jej nie kocha, obwieściła w powozie, to nie jej wina. Nie widzi sposobu, w jaki Bóg mógłby tu pomóc. Matka Enrique nie pochwałała rozwódki, była zatem pierwszą osobą do obwiniania. I służba, która wszystko robiła nie tak. Salomé miała ochotę winić Leandra, ale nie mogła. Ciasto z pszennej mąki, które robił, było doskonałe, jedwabiste jak jej biała suknia z lejącego się materiału, w której wciąż miała nadzieję raz jeszcze wziąć ślub.

Problemem był jej długonogi syn, podskakujący na wybojach

na drodze, odgarniający włosy z oczu, gapiący się na ocean. Na szczycie weselnego tortu nie było miejsca dla chłopca tak wysokiego jak prezydent, który nie wygrał wyborów.

ABY DOSTAĆ SIĘ NA pola naftowe w Huasteca, Enrique musiał płynąć promem do brzegu, potem barką do Veracruz, a następnie przesiąść się do pociągu. Jeśli musiał wyjechać, nie było go tydzień albo nawet i miesiąc. Salomé chciała się z nim zabrać, ale uznał, że od razu poszłaby na zakupy. Zamiast tego pozwolił im przyjechać powozem do przystani w mieście, żeby mogli się przyglądać, jak odpływa promem. W porannym świetle korzystnie wpływającym na wygląd machała mu chusteczką z przystani i trącała łokciem syna, żeby również machał. Oboje dostali role w sztuce zatytułowanej *Enrique podejmuje decyzję*.

– Wkrótce wypowie te słowa, a wtedy będziemy mogli wyluzować, dzieciaku. Pomyślmy, co z tobą zrobić.

Enrique wspominał coś o szkole z internatem w Distrito Federal.

W kartonowym notatniku kończyły się strony. Stał się książką zatytułowaną *Co przydarzyło nam się w Meksyku*. Poprosił, żeby kupiła mu nowy w kiosku z tytoniem, ale Salomé odparła:

– Najpierw musimy się przekonać, czy ta opowieść ma dalszy ciąg.

Kiedy prom odpłynął, zjedli lunch na nabrzeżu, na wprost pomostu z krewetkami, patrząc, jak nadmorskie ptaki kołują, próbując porwać coś do jedzenia. Na wodzie mężczyźni w niewielkich drewnianych łódkach wyciągali sieci, układając je w szare stosy, które wyrastały z każdej łupiny niczym chmura burzowa. Nim skończył się ranek, wszystkie łodzie zacumowały. Ustawione były w tym samym kierunku, ich podwójne maszty opierały się o siebie jak zaślubione sobie pary, w których oboje małżonkowie są tak samo pijani. Powietrze pachniało rybami i solą. Palmy gwałtownie wymachiwały ramionami na morskim wietrze, przez wszystkich w gości rozpaczy lekceważonym. Chłopiec nalegał:

– Opowieści zawsze mają dalszy ciąg. Ten lunch będzie jej

kolejną częścią.

Ale Salomé odpowiedziała tak, jak zawsze ostatnio mawiała:

– Musisz przestać to robić, skończ z tymi książkami. Denerwuje mnie to.

W drodze do domu nakazała woźnicy zatrzymać się w niewielkiej wiosce niedaleko laguny.

– Wyrzuc nas tutaj i wróć o osiemnastej. Nieważne dlaczego – nakazała.

Koń znał wszystkie trasy, co było bardzo przydatne, ponieważ Natividad prawie nic nie widział. Kolejna przydatna cecha, tym razem dla Salomé. Nie chciała mieć żadnych świadków.

Wioska była zbyt mała, by mieć rynek. Na centralnym placu stała tylko olbrzymia kamienna głowa, pozostałość z czasów, kiedy Indianie mieli rozbuchane ambicje. Salomé wysiadła z powozu i minęła głowę, pod której podbródkiem rosła trawiasta broda. Na końcu ścieżki powiedziała:

– Idziemy tędy, chodź.

A potem skręciła w dróżkę prowadzącą w las. Szła szybko, usta miała zaciśnięte, opuściła głowę i falujące włosy opadały na jej twarz jak nieprzenikniona zasłona. Doszli do kładki z desek wiszącej na sznurach nad jarem. Zsunęła ze stóp białe buty o spiczastych czubkach i zawiesiła je na zagiętym palcu. W samych pończochach weszła na most nad rwącą rzeką, następnie zatrzymała się na chwilę i obejrzała za siebie.

– Nie idź ze mną – powiedziała. – Poczekaj tutaj.

Nie było jej wieki. Chłopiec siedział na brzegu kładki z notatnikiem na kolanach. Dostrzegł ogromnego pajaka z ognistoczerwonym brzuchem, który przydreptał skądś, podnosząc nogę za nogą, a potem powoli schował się w niewielkim otworze w jednej z desek. Okropna świadomość: każdy otwór może mieć w środku coś takiego. W listowiu uwijało się stado papug. Tukan, spoglądając znad długiego dzioba, darł się: „A mi, a mi!”. Skulony nad przepaścią chłopiec znów zaczynał wierzyć w demony drzewne. O zmierzchu, wyjąc, nadeszły.

Kiedy Salomé wróciła, znów zdjęła buty, żeby przejść przez most, potem znów je założyła i pomaszerowała w stronę wioski.

Natividad już czekał, podobny do kamiennej głowy. Poluzował koniowi lejce, żeby ten mógł się popaść. Wsiadła do powozu, nie odezwawszy się ani słowem.

KRADZIEŻ ZEGARKA BYŁA FORMĄ zemsty. Czymś, co mógł trzymać w tajemnicy przed matką za to, że nie chciała mu powiedzieć, po co poszła do dżungli. Zrobił to w dniu, kiedy z miasta przyjechał krawiec, chcąc zasięgnąć opinii Salomé na temat tkanin na nowy garnitur Enrique. Enrique nie było. To, że krawiec zgodził się wypić z Salomé chinguirito, a potem jeszcze jedno, było jedynie przejawem jego dobrych manier. Chłopiec miał mnóstwo czasu, żeby zakraść się do jej pokoju i zerknąć do pudełka z rzeczami ojca. Było pokryte kurzem, wepchnięte pod szafkę, gdzie trzymała nocnik. Tak bardzo nienawidziła tego mężczyzny.

„Nie ma co płakać nad rozlanym ojcem”, mawiała. Tylko raz pozwoliła mu zerknąć na rzeczy z tego pudełka: fotografię człowieka, który w jakiś sposób był jego tatą. Trochę starych monet, łańcuszki od zegarka, ozdobne spinki do mankietów i kieszonkowy zegarek. Zapragnął go mieć. Kiedy po raz pierwszy pozwoliła mu usiąść na podłodze i brać do rąk wszystko, co było w pudełku, leżała na łóżku oparta na łokciu i mu się przyglądała. Zaczął kołysać tarczą zegarka przed jej oczami niczym hipnotyzer:

– Robisz się bardzo śpiąca.

– *El tiempo cura y nos mata.* – Czas najpierw cię leczy, a potem zabija.

Ściśle rzecz ujmując, to wszystko należy do ciebie, wyznała mu. Tak naprawdę jednak nie należało nawet do niej, zgarnęła te przedmioty w pośpiechu, bez pytania, kiedy uciekła do Meksyku.

– Na wypadek, gdybyśmy później potrzebowali czegoś na sprzedaż, jeśli nadeszłyby ciężkie czasy.

Musiła mieć na myśli czasy cięższe niż te u Enrique.

A teraz zegarek, który ukradła, został ukradzony ponownie: podwójna zdrada. Chłopiec zakradł się do jej pokoju i zabrał go, kiedy ona siedziała w salonie, śmiejąc się z dowcipów krawca, odchylając głowę na jedwabne oparcie sofy. Ze wszystkich skarbów w

pudełku potrzebował tylko tego jednego. Czas najpierw cię leczy, a potem kładzie kres wszystkiemu, co dzieje się w twoim sercu.

BŁĘKITNY DYM Z CYGAR Tuxtlan wypływał z biblioteki i wypełniał cały dom. Tym razem wraz z Enrique zjawili się dwóch Amerykanów, którzy zasnuwali południowe brzegi Meksyku dymem i niekończącymi się rozmowami: na temat kampanii wyborczej, Ortíza Rubia i tego strasznego Vasconcelosa. *Gringos* zawsze sprawiali, że Enrique był zdenerwowany, a Salomé podekscytowana. Napelniała ich kieliszki koniakiem i pozwalała zaglądać sobie w dekolt, kiedy schylała się nad stołem. Jeden z gości zerkał, ten drugi nigdy. Podobno obaj byli żonaci. O północy poszli na spacer po plaży, w kapeluszach i skórzanych butach. Salomé opadła na krzesło, uleciała z niej cała trzpiotowatość.

– Powinieneś iść do łóżka – stwierdziła.

– Nie jestem dzieckiem. To ty powinnaś iść do łóżka.

– Bez głodnych kawałków, mój panie. Jeśli on wkurzy się jeszcze bardziej, to nas wyrzuci.

– I dokąd pójdziemy? Nie polecimy przecież nad wodą.

Jeden z mężczyzn nazywał się Morrow i był ambasadorem, drugi przedsiębiorcą naftowym, jak Enrique. Salomé mówiła, że ten drugi zadziera nosa, ale gdyby zechciała, mogłaby go skłonić do wyłożenia gotówki.

– Jest bogatszy od samego Boga – mówiła.

– To chyba musi mieć wschód słońca w kieszeni. I litość w butach.

Popatrzyła na niego.

– To z jednej z twoich książek?

– Nie całkiem.

– Co to znaczy „nie całkiem”?

– Nie wiem. Brzmi trochę jak z *Romancero cygańskiego*. Ale nie jest.

Otworzyła szeroko oczy. Kilka godzin temu ułożyła włosy w fale, ale niewiele zostało z tej fryzury, nad czołem miała już parę luźnych loczków. Wyglądała jak dziewczynka, która właśnie

skończyła się bawić.

– Wymyśliłeś to, wschód słońca w kieszeni i litość w butach. To wiersz. – Jej oczy przejrzyste jak woda, końce włosów ledwo dotykające brwi. Światło świecy wydobywało szwy w jej sukni, które za dnia były niewidoczne.

Zastanawiał się, jak by to było naprawdę mieć matkę. Śliczną, zdumioną kobietę, jak ta, która wpatrywałaby się w niego. Przy najmniej raz dziennie.

– Potrzebujesz kolejnego notatnika, prawda? Żeby spisywać swoje wiersze.

Ale on już był na ostatniej stronie. Większość miejsca zajął opis jego matki w blasku świec, a zakończenie nie było dobre. Kiedy mężczyźni wrócili, nastavili gramofon, a ten od „wyłożenia gotówki” próbował zatańczyć charlestona z Salomé, ale jego buty nie miały ani krzty litości. Od razu było widać, że go cisną.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).